



Mirosław Derecki

Z ŁEZKĄ W OKU

Szedłem niedawno wieczorem spokojną uliczką Godebskiego w Lublinie, gdy nagle wypełniła się ona tłumem młodzieży. Na pobliskim przystanku MPK wysiadła z trolejbusu duża grupa studentów i szła w kierunku dzielnicy uniwersyteckiej. Uświadomiłem sobie wówczas nagle, jak bardzo zmienił się obraz lubelskiej ulicy w kilku ostatnich latach. Fakt drobny, a przecież charakterystyczny, świadczący o - nie zauważanym często przez ogół mieszkańców - przekształcaniu się miasta w silny, dobrze zorganizowany ośrodek uniwersytecki. Jakoś przyzwyczailiśmy się do tego, że mamy w Lublinie pięć wyższych uczelni, kilkanaście tysięcy studentów i trzy już dzielnice akademickie.

Jeszcze kilkanaście lat temu lubelska ulica wyglądała zupełnie inaczej. Na chodnikach było pustawo, jezdnią z rzadka przejeżdżały wysłużone autobusy, wśród nich popularny „Wzorcowy”, olbrzymia landara z przyczepą i trzema konduktorami wewnątrz. Mimo wszelkie utyskiwania na MPK zapomniane już zostało dzisiaj słynne powiedzenie, że w Lublinie ten, komu się naprawdę śpieszy, chodzi piechotą albo jeździ dorożką.

Ale o określonych porach dnia główne ulice, wypełniały się wielkimi gromadami młodzieży pędzącej w różnych kierunkach. Byli to studenci śpieszący z wykładu na wykład, z sali mieszczącej się na jednym końcu miasta do laboratoriów - na drugim. Miałem wówczas możliwość wypraktykowania wspólnie z kolegami, że przy dobrej woli i pewnej zaprawie fizycznej można pokonać odległość między gimnazjum Staszica a Collegium Maius na końcu ul. Lubartowskiej w ciągu piętnastu minut marszobiegu. To znaczy w ciągu tzw. „kwadransa akademickiego” pomiędzy jednym a drugim wykładem.

Autobusami nikt więc nie jeździł, bo nie było na to czasu, a zresztą żałowalibyśmy pieniędzy na bilety, jako że stypendium na pierwszych latach studiów wynosiło około 270 zł. Poza tym kilkukilometrowa „przechadzka” doskonale wpływała na dotlenienie organizmu po przebywaniu przez kilka godzin w nie przystosowanych do ogromnej liczby słuchaczy ciasnych i dusznych pomieszczeniach. Wreszcie grupowy przemarsz doskonale nadawał się do zabawy zwanej „zaziębieniem łysiny”. Polegała ona na tym, że gdy w polu widzenia maszerującego „roku” pojawił się idący z naprzeciwka któryś z profesorów, cała grupa

kolejno zdejmowała czapki, w wyniku czego wykładowca, cały czas odkłaniając się, defilował na wietrze lub deszczu, wściekły, z uniesionym kapeluszem.

Zajęcia odbywały się jak już wspomniałem, w różnych punktach miasta, a najgorzej było dotrzeć na nie mieszkańcom powstającego właśnie miasteczka akademickiego. Kiedy w 1953 r. przyjechałem na Studia do Lublina, ośrodek akademicki był już dość dobrze zorganizowany, słynne „posiedzenie na beczkach” w auli Gimnazjum Staszica inaugurujące zajęcia uniwersyteckie w PRL było już i dla nas historią, ale akademickie centrum dopiero powstawało. Na terenie dzisiejszej dzielnicy uniwersyteckiej stały tylko gmachy Fizyki i Chemii oraz bloki mieszkalne A i B, we wznoszonym bloku C mieszkali na parterze i na pierwszym piętrze studenci, gdy ostatnie piętra jeszcze wykończono.

Cały obszar przed domami akademickimi zamieniał się w czasie deszczu w gliniaste bagno rozjeżdżone kołami ciężarówek przedsiębiorstwa budowlanego, zaś przed starą stołówką - olbrzymim barakiem na przeciwko obecnego Domu Profesora - rozlewała się nigdy nie wysychająca kałuża. Omijało się ją przełaząc przez płot na pole, gdzie stoi dzisiaj Biblioteka. Nic dziwnego, że w o wiele lepszej sytuacji niż mieszkańcy miasteczka akademickiego byli studenci, którzy mieli szczęście dostać przydział do „akademika” w centrum miasta, na drugim piętrze hotelu „Lublinianka”, albo do budynku ukrytego obecnie za PDT. Tylko że tam w jednym pomieszczeniu stało dwanaście łóżek.

Wokół „miasteczka akademickiego w budowie” - jak głosiła blaszana tablica stojąca przy ul. Sowińskiego - rozciągały się dzikie tereny. Na miejscu Chatki Żaka wznosiło się niewielkie wzgórze, na którego stokach rosło żyto, a bliżej bloku A wygospodarowano placyk, na którym urządzono boisko do siatkówki - chyba jedyne boisko, jakim dysponował wówczas ośrodek akademicki. Tam, gdzie dzisiaj stoją gmachy Humanistyki, Wielkiej Chemii, Collegium Agrobiologicum i inne, rozciągał się górzysty ugór wykorzystywany często jako zastępczy poligon przez Studium Wojskowe.

I wreszcie - ulica Głęboka dzisiejsza aleja PKWN: obramowana pustymi wzgórzami, na których projektowano dopiero wybudowanie osiedla mieszkaniowego; wybrukowana kocimi łbami boczna droga. Tu gdzieniegdzie stały niewielkie rudery, a na pobliskich polach orali ziemię starzy ludzie w zniszczonych dorożkarskich płaszczach i czapkach. W połowie lat pięćdziesiątych zaczęto na Głębokiej wznosić kompleks budynków klinik weterynaryjnych. Kiedy rozpoczęły się tam zajęcia, wśród studentów weterynarii dużą popularnością cieszyły się gumowe buty z cholewami. Bez nich dotarcie jesienią i wiosną do klinik było prawie niemożliwe.

Nie można twierdzić, że w takich warunkach bujnie kwitło na przykład życie kulturalne. Występy artystyczne odbywały się najczęściej w wypożyczonych szkolnych salach gimnastycznych lub w auli Gimnazjum Staszica, którego znaczna część zajęta była wówczas

przez liczne zakłady naukowe. Dużą popularnością cieszyły się „konkursy krasomówcze”, organizowane przeważnie w sali im. Marchlewskiego w budynku Prawa przy Placu Litewskim. Ale działały już wówczas dwa zespoły artystyczne, które miały przetrwać próbę czasu i ściśle związać się z historią lubelskiego życia studenckiego: chór mieszany Wydziału Rolnego UMCS (późniejszy chór WSR), prowadzony przez mgr Bogusława Szota, oraz Zespół Taneczny pod kierownictwem mgr Stanisława Leszczyńskiego. Tańczyli i śpiewali o wiele gorzej niż teraz, kiedy „okrzepli”, dorobili się bogatych kostiumów, mają na swym koncie wojaże i nagrody zagraniczne, ale chyba też bardziej żywiołowo byli witani na scenie wtedy, gdy przynosili nam kilkadziesiąt minut rozrywki w tamtych nie całkiem jeszcze łatwych latach studenckich. Może to jednak tylko pozorne wrażenie, nie mające pokrycia w rzeczywistości, wynikłe ze spojrzenia wstecz, z rozrzucającej chwili zadumy nad niby niedawnym, a jednak tak odległym okresem sprzed piętnastu lat...

Pierwodruk: „Kamena”, 1968, nr 8, s. 10.